

Wiesław Trawa

CHWILE

Część pierwsza

grünberg in schlesien zielona góra

landsberg an der warthe gorzów wielkopolski

stettin szczecin

glogau glogów

breslau wrocław

Kurza pamięć

Wiesław Trawa

CHWILE

Część pierwsza

Kurza pamięć

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2016

Wiesław Trawa

„CHWILE. Część pierwsza. Kurza pamięć”

Copyright © by Wiesław Trawa 2016

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o. 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Agnieszka Marzol

Projekt okładki: Wiesław Trawa

Korekta: Paweł Markowski, Karolina Cieślak

ISBN: 978-83-7900-638-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Danusi, że jest

*Chwile, które wspominam,
są jak błyski flesza,
krótkie, ale bardzo wyraźne.*

Już od kilku dni w Głogowie pada. Dzisiaj jest jednak wyjątkowo brzydko. Leje jak z cebra i jednocześnie zacina z porywistym wiatrem. Jest zimno i ponuro. Jakby się ktoś powiesił, jak mawiano o takiej pogodzie w czasach mojego dzieciństwa. Jest piątek, 7 czerwca 1996 roku. Około trzeciej po południu Anita, kuzynka od cioci Zyty ze Szczecina, dzwoni do Mamuni:

– Moja ciociu... Z naszym tatą jest bardzo źle, już chyba długo nie da rady...

Nie rozwodzi się. Mówi, jak jest z wujkiem Poldkiem, że z jego zdrowiem jest licho, że jego życie jest już na wyczerpaniu. Na koniec dodaje nieśmiało:

– Jeżeli, moja ciociu kochana, ktoś chciałby się z nim jeszcze zobaczyć, albo może i pożegnać się, to musi przyjechać jak najszybciej.

Po kilkunastu minutach Mamunia dzwoni do mnie:

– Wiesiu, i co? Jak myślisz?

Nie zastanawiam się oczywiście ani chwili.

– Trzeba jechać jeszcze dzisiaj.

– Ale synku, jest tak brzydko na dworze. Jeszcze jakieś nieszczęście będzie z tego.

Brzydka pogoda? I to ma być dobry powód, żeby nie jechać, żeby nie być u wujka być może już w godzinę jego śmierci?

– Mamuniu, nic nie będzie... Nic nikomu się nie przydarzy, pojedziemy...

– Pojedziemy?

Niemal krzyknęła.

– Ale, synku, z kim? Z kim chcesz jechać? Ze mną?

Przestraszyła się? Nie chce jechać? Czy to możliwe, żeby nie chciała?

– Bo ja, synku, niestety nie pojedę...

Wyjaśnia bez przekonania, głos łamie się jej, mówi sylabami.

– Nie mogę jechać, bo źle się czuję, biodra mnie bolą i w ogóle...

I ja mam w to uwierzyć? Oczywiście, ma problemy ze zdrowiem. Ale teraz, w tym czasie, to mniej więcej jak każdy w jej wieku. Na pewno nie aż takie, żeby polonezem, w końcu bardzo wygodnym samochodem, nie mogła pojechać do tego, któremu tak wiele zawdzięcza i któremu być może już nigdy nie będzie mogła za nic podziękować. Do ortopedy w Poznaniu, gdy czuła się naprawdę bardzo źle, gdy z powodu bólu bioder aż zwiłała się z bólu, to jeździliśmy fiacikiem. To

nie jest prawdziwy powód, że nie chce jechać. Zaskakuje mnie, bo po wszystkim, co widziałem tuż przed i zaraz po śmierci Tatunia, to byłem pewny, że jak, nie daj Boże, cokolwiek złego przydarzy się cioci lub wujkowi, to będzie do ich dyspozycji na bank. Dlatego, nie bacząc na to, że się obrazi i znowu będę pod kreską, mówię:

– A nie uważa Mamunia, że wujkowi to się zwyczajnie należy? Jak psu buda? Że niezależnie od tego, jak się czujemy, czy jak nam się chce, czy jaka jest pogoda, czy co tam jeszcze może się przydarzyć, to powinniśmy być tam teraz u niego? Bo zawsze był dla nas dobrym wujkiem i bratem Tatunia? Bo gdy Tatuń umierał, to oni byli u nas i warowali przy nim jak psy, które w zamian niczego nie oczekują? A przecież wówczas był mroźny luty, a nie prawie lato. Pogoda nie była bardziej sprzyjająca od tej teraz.

Jest mi znacznie lżej. Jakbym jakiś ciężar z siebie zrzucił.

– No tak, synku. Masz rację. Więcej niż dwa tygodnie byli wówczas u nas...

Nie obraziła się. W głosie wyczuwam nawet lekką skruchę. Mówię więc dalej, co mi nie tyle z mózgu, co z serca na język wycieka:

– Nie, Mamuniu, nie przez dwa tygodnie. Oni byli w Tatunia życiu. Byli więc też i przy jego śmierci. Bo taka jest u nich zwykła kolej rzeczy? Jak u wszystkich zwykłych i normalnych, którzy trwają przy sobie nie tylko w dobrym, ale przede wszystkim w złym czasie?

Nie odpowiada mi. W słuchawce jest cisza. Może nie jest sama, ma gości i dlatego nie może rozmawiać swobodnie? Dlatego – inaczej niż zwykle – rozmowa rwie się nam?

– Masz rację, synku. Jedź dzisiaj... – powiedziała po dłuższym milczeniu, ale już prawie zachęcająco. I dodała na koniec:

– Bogu jedynie mogę podziękować, że do ciebie najpierw zadzwoniłam...

– Tak, Mamuniu, ja też jestem wdzięczny Bogu... – odpowiedziałem bez namysłu i entuzjazmu, bo sam już nie wiem, co myśleć.

Dom naszych rodziców w Głogowie. Jest niedziela, 13 lutego 1994, dwie godziny przed północą. Skończyłem dzisiaj 39 lat...

Patrzę na Tatunia, jak leży martwy na wersalce, już tylko na samym prześcieradle.

Czy wszyscy tu i teraz, którzy kręcą się tu obok niego, zobaczą go nagiego, gdy będzie ubierany do trumny?

Ciocia Zyta ubiera Tatunia. Nikt nie ma do tego głowy. Ale ona ma. Jest taka opanowana, wręcz niezwykła. Robi to bardzo delikatnie i z szacunkiem. Tak, jakby nadal żył. Jakby był to w dodatku taki jego wyjątkowy czas, w którym szacunek należy mu się bodaj bardziej niż kiedykolwiek za życia. Pomaga jej Zdzisiek, mąż Grażynki, mojej najstarszej siostry. Jego ojciec umarł nieco ponad dziesięć lat temu. Był przy tym, gdy go ubierali, i dlatego teraz umie to robić? Jest jak za dawnych czasów, jeszcze w domu we

Wrzosowie. Wówczas też wszyscy bywali u Tatunia, ale najczęściej tylko dla towarzystwa. Pomagali mu, gdy o to poprosił, najczęściej zresztą poprzez Mamunię. Zdziśka nigdy o nic prosić nie musiał. On zawsze był pierwszy przebrany po roboczemu i gotowy do pracy. Że mu się to opłacało? To też. Ale przecież na pewno nie dostawał więcej od innych, szczególnie od Tobka. Zdejmują Tatuniowi górę od piżamy. Na piersiach kładą mu duży ręcznik frotte. Jego część nachodzi na pasek od spodni piżamy. Zdejmują spodnie. To, co mogłoby się odkryć, automatycznie zakrywane jest ręcznikiem. Zakładają kalesony. Wszystko odbywa się w odwrotnej kolejności. Ciocia Zyta jest jak pielęgniarzki automat. Mimo że taka gruba, to sprytna i zwinna. I jeszcze jak potrafi zadbać o ostatnie intymne chwile na tym świecie. Nie musi nic, a daje wszystko, co dzisiaj jest takie cenne. A dlaczego? Bo jest dobra?

Z boku stoi wujek Poldek. Stoi i patrzy. Jakby odchodził razem z Tatuniem. Tylko spojrzeniem, a oddaje mu tyle szacunku.

Musimy więc być u wujka jak najszybciej. To jest tak oczywiste, że bardziej nie może. Tu nie ma pola manewru. Jakbym świadomie nie miał być tam dzisiaj, być może tuż przed jego śmiercią, to czułbym, że Tatuń patrzy na mnie z zaświatów wzrokiem znanym wielu, wyrażającym politowanie lub nawet pogardę i obrzydzenie. Muszę tylko zadzwonić do Tobka. Potem ewentualnie do kogoś jeszcze, żeby skompletować cztero, a nawet pięcioosobową delegację, równą ilości miejsc w polonezie i odpowiednią do wagi tego, co może się zdarzyć. Tobek musi jechać, żeby pożegnać się z wujkiem. To Tobek

musi spełnić obowiązek w imieniu nas wszystkich Trawów z Głogowa.

Tobek jest nie tylko najstarszym, ale z całej naszej szóstki był zawsze najzdolniejszym dzieckiem naszych rodziców. Matematykę nie tylko pojmował jak nikt, ale również tłumaczył ją lepiej niż nauczyciele w szkole. Świetnie grał w piłkę nożną, w ping-ponga, pływał, jeździł na rowerze i na nartach, biegał. Ponadto wyjątkowo pięknie rysował. Narysować potrafił niemal wszystko. W oknach naszego domu we Wrzosowie mieliśmy parapety z ocynowanej blachy pokrytej patyną, które systematycznie dewastowaliśmy poprzez rysowanie po nich gwoździem. Na jednym z nich, w naszym pokoju, czyli w sypialni chłopców, Tobek wydrapał prześliczny rysunek, który wiernie odzwierciedlał nasz dom, zabudowania gospodarcze i cieplarnie. A rysował bez poprawek, bo jakkolwiek rysa na powierzchni blachy była już trwała, a na dodatek z pamięci, ponieważ okno z parapetem – rysunkiem wychodziło w stronę przeciwną do naszych zabudowań. Czy ktokolwiek z nas, jego rodzeństwa, miał jakieś zdolności chociażby zbliżone do jego? Przez wiele lat dostrzegłbym je i zapamiętał. A mimo, że ponoć pamięć mam niezłą, nie pamiętam nic. No bo tak: Grażynka na pewno nie ma żadnych talentów. Tak po prostu. Zawsze była dobra i opiekuńcza. Oszczędna jest jak rodowita Poznanianka, ale za to od zawsze była przy forsie. Nawet w czasach absolutnie dziecięcych, gdy w wakacyjne niedziele dostawaliśmy od rodziców po piątce na lody, to wszyscy, jak jeden, traciliśmy z tej piątki cztery osiemdziesiąt, bo zamawialiśmy sobie, ile się dało, czyli cztery gałki po złoty dwadzieścia. Oczywiście oprócz Grażynki. Ona zawsze zamawiała dla siebie pingwina, czyli loda wodnego za złoty

coś. Zaoszczędzoną resztę odkładała sobie. Po co? Po to, żeby mieć. Stefek to środkowy z nas trzech chłopaków w domu. Potrafił w zasadzie wszystko, ale za to nic dobrze, nie mówiąc już, żeby doskonale, tak jak Tobek. Zbudował mi kiedyś karmnik dla ptaków, który miałem jako zadanie domowe z prac ręcznych w szkole podstawowej. Uważał, że potrafi, ale chociaż starał się, jak tylko mógł, to udał mu się, że tak powiem, taki ładny inaczej, taki down wśród karmników. Nie tylko koledzy z klasy, ale również nasz pan od prac ręcznych, pan Spinka, z którym miałem również matematykę, mieli ze mnie i z mojego karmnika niezły ubaw. Zawsze miał się Stefek za uzdolnionego w sporcie, tyle tylko, że nie pokrywało się to z ocenami postronnych, również moimi. Nigdy nie lubilem grać z nim w piłkę nożną, gdy on był kapitanem mojej drużyny. Gdy bowiem przegrywaliśmy, a pod jego komendą zdarzało się to często, to winni byli wszyscy oprócz niego. Jego głośne pokrzykiwania, wrzaski na winnych złej gry, były nieraz powodem, że Mamunia odbierała nam piłkę. No i uczył się nasz Stefcio zawsze bardziej niż słabo. W tym nie mógł być wzorem dla nikogo, ale akurat temu nie był niczemu winien. Jako Stefan z imienia po ojcu oraz jako drugi syn, zgodnie z wmówioną mu wolą naszych rodziców, miał zostać ogrodnikiem, spadkobiercą schedy po Tatuniu. Los jednak skorygował te plany. Irminka, kolejna z nas, ładnie wyszywała i haftowała oraz całkiem porządnie uczyła się. Czy kiedykolwiek miała coś z tego? Nie przypominam sobie. U nas w domu panowała bowiem zasada, że rodzice pomagali zawsze najbardziej tym, którzy odstawali w dół, niezależnie od stopnia ich przyczynienia się do tego. Z czystym sumieniem mógłbym potwierdzić Irmince, gdyby oczywiście chciała ode mnie takiego świadectwa, że tak, ona, tak w latach dziecięcych, panieńskich, jak już w życiu dorosłym, dostała

od naszych rodziców najmniej z nas wszystkich. I to przede wszystkim dlatego, że przysparzała rodzicom najmniej kłopotów. Ja, jako piąty w rodzinie, zawsze miałem i chyba nadal mam dobrą pamięć. Na tyle dobrą, że jeżeli w szkole, ale szczególnie na studiach, nie mogłem czegoś pojąć, to potrafiłem to zapamiętać tak, że wyglądało, jakbym to rozumiał. W ogólniaku na przykład potrafiłem uczyć się na pamięć długich dialogów po francusku, rozumiejąc z nich tylko pojedyncze, proste słowa, w tym imiona rozmawiających. Na studiach, ulubionej wcześniej matematyki, nawet nie starałem się rozumieć. Bardziej opłacało mi się wkuć na pamięć nawet dwa bruliony, tzw. akademiki, z notatkami z wykładów. Na egzaminie miałem je przed oczami i czytałem odpowiedzi na zadane pytania. Innych talentów w sobie przypomnieć sobie nie potrafię. Donatka była poskrobkiem i podobnie jak Grażynka również nie miała żadnych talentów. Z tym, że w przeciwieństwie do Grażynki nie była ani pracowita, ani oszczędna, ani... Pomimo że byłem mały, a Grażynka jest ode mnie, było nie było, sześć lat starsza, to jednak widzę ją, gdy stara się uczyć i jest w tym, niezależnie od efektów końcowych, pilna i wytrwała. Gdy Donatka chodziła do szkoły, szczególnie do ogólniaka, to byłem już niemal dorosły, bo byłem już nawet na studiach. Nigdy jednak nie widziałem jej uczącej się. Jedna z naszych sąsiadek, pani Paprykowa mianowicie, powiedziała kiedyś z uznaniem do Mamuni: „Donatka, pani Trawowa, to musi się dużo uczyć, bo w nocy w jej pokoju zawsze bardzo późno pali się światło...”. Po tym nasza Mamunia codziennie przed pójściem spać zawsze chodziła do pokoju Donatki. Nie zawsze, ale bardzo często przed zgaszeniem światła zabierała jej książkę lub zeszyt, gdy ona już smacznie spała. W zasadzie tylko jedno ją z nas wyróżniało. Była bardzo chorowita. Ale akurat to,

to nie była nikogo wina. Tak się zdarzyło. Taki los. Wracając do Tobka, to z racji, że był pierworodnym, miał z tego i zaszczyty, i nieprzyjemności. Początkowo przeważały nieprzyjemności. Jako najstarszy bowiem, musiał Tobek pomagać w pracy Tatuniowi, który w naszym ogrodnictwie i owszem był fachmanem, co się zowie, ale tylko w pracach indywidualnych. W pracy zespołowej natomiast, w jej organizacji, był beztalenciem, najdelikatniej to ujmując. Jestem osiem lat młodszy od Tobka, więc byłem za mały, żeby pamiętać wszystko, co dotyczyło jego pierepałów w pracy z Tatumiem. Z Mamuni opowiadań wiem jednak, że od Tatunia oberwał nie raz i nie dwa, bez żadnej w tym jego winy. I tyle w tym temacie, bo i była to jego jedyna dolegliwość wywodząca się z jego pierworodności. W zasadzie wszystko inne już to były tylko przywileje. Zawsze miał nowe ciuchy, gdy Stefek, następny chłopak w rodzinie, nieco tylko ponad cztery lata starszy ode mnie, i szczególnie ja, nosiliśmy je po nim aż do zużycia. Wszystko miał jako pierwszy. Rower, kolarzówkę, motocykl, samochód. No i był hołubiony przez wszystkich w rodzinie zarówno ze strony Mamuni, jak i Tatunia. A przodował w tym wujek Poldek, który był zaledwie dwa lata młodszy od Tatunia, a ożenił się aż osiem lat później. Mimo to, że Tatuniowi w paragę weszły lata wojny, to w dniu ślubu, zaledwie dwudziestodwuletnią Mamunią, miał raptem dwadzieścia dziewięć lat. Wujek Poldek ożenił się dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat, aż osiem lat po wojnie, a pojął dziewczynę, ciocię Zytę, dwudziestosiemioletnią, a więc na owe czasy już nieco wiekową. Że więc długo nie miał własnych dzieci, to hołubił nas, bratanków, a szczególnie już Tobka... Tak naprawdę to tylko jego od zawsze i zawsze poważał. Kochał go jak rodzonego. „A Tobek to to..., a Tobek to tamto” – wychwalał go nieraz za duperele, których

u innych nie zauważał. A Tobek w zamian nie musiał nic. Wystarczyło, że był. Bo był Tobkiem. „Bo jest zawsze taki wycowny” – od zawsze mówi o nim Mamunia. Zawsze jest duszą towarzystwa, niezależnie jak mało się stara lub kogo kosztem to robi, z kogo żartuje lub nawet szydzi. Wypada więc, żeby to właśnie on był dziś u wujka Poldka. Wypada, żeby w imieniu nas wszystkich oddał wujkowi ostatnią przysługę w życiu.

Dzwonię więc do Tobka, do Pieskowic, gdzie mieszka. Ale nie ma go w domu. Odbiera Kamil, jego syn:

– Niestety, wujku – sepleni mi w ucho – nikogo nie ma w domu. Jestem tylko ja i Mela...

Kamil to jedynie Tobka i Agnieszki, a Mela, Melania, to ukochana Kamila, z którą ten ma się niby niedługo żenić. Zaręczyn póki co i tyle, co wiem, nie mieli, ale że jako oboje nie są przesadnie pruderyjni, to czy to z błogosławieństwem Tobka i Agi, czy też może bez ich błogosławieństwa, tego też nie wiem, Kamil i jego Mela żyją sobie razem pod Tobka i Agi dachem, niczym mąż i żona. Dla wielu z nas dorosłych w rodzinie, w tym również dla mnie i mojej żony Dagny, jest to tylko nazbyt odważne, ale nie żeby odpychające. Co bardziej zgryźliwi jednak, jak chociażby Zdzisiek, mąż Grażynki, albo prawdziwie bogobojni, jak Grażynka, albo bogobojni i pruderyjni na pokaz, wyłącznie dla zaskarwienia sobie uznania Mamuni, jak Donatka i jej mąż Franiu, to w żartach, oczywiście poza oczami Tobka i Agi, ich dom nazywają tartakiem. Dla Mamuni jedynie wszystko toto, to jedno wielkie pasmo grzechu i jej życiowa porażka. Nie może pojąć, jak to w katolickim domu, gdzie korzenie wychowania i wiary sięgają od niej, można pukać się

bez ślubu. Wcześniej, gdyby tak było, jeszcze w czasach prosperity we Wrzosowie, gdy skutecznie komenderowała dorosłymi już dziećmi, bo miała kasę na pożyczki do oddania na Świętego Gdygdy (którego nie ma nigdy), szczególnie dla wiecznie gołych, bo rozrzutnych i niegospodarnych Tobka i jego Agi, oraz zaradnych i oszczędnych, ale za to zarabiających grosze Grażynki i jej Zdziśka, to takiemu czemuś by nie popuściła. Ale teraz? Teraz musi być już albo wyrozumiała, albo ślepa i głucha. Nie ma już nic do zaoferowania, a przez to do powiedzenia. Bo prosperita jakakolwiek to już dla niej czas przeszły, bo po Wrzosowie zostało już tylko wspomnienie, bo nie ma już zasobnego portfela, którym dawniej kusiła, bo wszystko wartościowe, co tylko mieli razem z Tatumiem i co miała jeszcze sama później, już po Tatumia śmierci, nieroztropnie rozdała nam, jej dzieciom, jak jeden wiecznie spragnionym kasy. Udaje więc nasza Mamunia, że to, co jej się nie podoba, to nie wie o tym. Świadomie przypała głupa. Nie chce zostać sama, więc nie tyle, że przestała dyrygować i ingerować w cokolwiek, co poddała się i zaczęła godzić się w zasadzie na wszystko, co zaczęła jej przynosić ciągle zmieniająca się rzeczywistość. Choć brzmi to bardzo dziwnie, to w jesieni życia przystała do swoich dzieci.

– Rodzice pojechali do miasta, na zakupy...

Kamil mówi szybko i dużo, ale niestety nie wie, po co Tobek i Agnieszka pojechali do Głogowa oraz gdzie mogą ich tu złapać.

– Wujku, tatuś zaraz do wujka oddzwoni, gdy tylko rodzice przyjadą – zaproponował rozsądnie Kamil. – Od razu mu wszystko powiem i tatuś zaraz do wujka...

Ale Tobek jednak nie oddzwania. Dzwonię ponownie kilka razy. Teraz jednak nawet Kamila nie ma pod telefonem.

W międzyczasie dzwonię do Irminki. Zgadza się od razu, żebyśmy pojechali razem. Ale oczywiście pod warunkiem, że moim samochodem. Nie dziwię się temu ani trochę. Już taka jest. Gdybym nalegał nawet najbardziej zasadnie, żebyśmy pojechali jej, to nie pojechałaby w ogóle. Było już tak raptem w ubiegłym roku, gdy umarła moja chrzestna, ciocia Józia z Legnickiego Pola.

– Jedziesz na pogrzeb? – zapytałem, dzwoniąc do niej wówczas.

– Z tobą?

– Nie, niestety, ja już mam Mamunię i wieńce...

– To ja nie jadę.

– Jak nie jedziesz? Przecież ktoś jeszcze musi tam pojechać...

– To niech ten ktoś sobie tam pojedzie. Ja nie jadę.

Nie pozostawiła mi najmniejszych złudzeń. Ale nie zaskoczyła. Nie mogła. Taka już była od dawna, to nawykłem.

– Dobrze więc, jedź ze mną... Jakos się upchamy w moim – rozpocząłem od nowa.

– Też tak myślę. Polonez to duży samochód, więc się zmieścimy. A wieńce pójdą do bagażnika – dobiła mnie.

Skończyła tak samo pogodnie, jak rozpoczęła.

Dzisiaj niczego jej nawet nie sugeruję, żeby cokolwiek było na jej koszt.

– Irmuś, ale co robimy? Tobek powinien jechać z nami, wiesz, bo wujek Poldek jest jego chrzestnym...

– Wiem o tym. I co? Nie chce mu się jechać?

– Nie, nie to. Ale nie ma go w domu.

– Aha... To nie jedzie w takim razie?

– Nie wiem. Kamil mówi, że z Agą pojechali na zakupy.

– To w takim razie co?

Nie czeka na odpowiedź, bo zaraz dodaje:

– Jak go nie ma, to może zadzwoń do Stefka. Może on pojedzie? Oczywiście, gdy będzie mógł. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem, no jasne, że wiem. Masz rację, zaraz do niego zadzwonię. Dam ci znać. Dobrze by było, gdyby pojechał z nami, ale jakby co, to najwyżej pojedziemy sami, no nie?

Odkładam słuchawkę z przyjemną świadomością, że co jak co, ale jazda samemu dzisiaj, w tak brzydką pogodę, na szczęście mi nie grozi.

Ze Stefkiem zdarza mi się jeszcze lepiej niż z Irminką. Dosłownie jak ślepemu psu poruchać na obcej wiosce, jak to Stefek mawia od zawsze, gdy komuś przydarzy się coś, co wcześniej według niego uchodziło za niemożliwe do zrealizowania. Może jechać. Niezbyt często tak jest. Bo albo nie ma go fizycznie w domu, albo jest, ale nie może, bo zdrowo popił. Żebym przyjechał do niego ot tak z partyzanta

i załatwił to, z czym przyjechałem? Do niedawna nie było takiej opcji. Więcej, nawet umawianie się z nim na cokolwiek to była loteria, w której wygrana na ogół nie padała. Najczęściej było tak jak wówczas, gdy umówiliśmy się, że przyjedzie po mnie do Poznania...

SOR w Poznaniu. Jest piątek, 21 grudnia 1979 roku, około dziewiętej rano...

Zaraz po śniadaniu i rozdaniu świadectw², pod budynek SOR podjeżdża zielony, wojskowy sanos. Wszyscy moi koledzy pakują się do niego i odjeżdżają na dworzec PKP w Poznaniu, aby pociągami rozjechać się wreszcie do swoich domów rodzinnych. Jedynie ja nie korzystam z podwózki na koszt armii. Byłem dumny, gdy zameldowałem Czajkowskiemu, mojemu dowódcy plutonu, że nie jadę, że nie muszę jechać autobusem ze wszystkimi, bo po mnie przyjeżdża mój brat samochodem. Parę minut przed umówioną dziesiątą wychodzę z koszar i staję vis a vis bramy, zaraz obok oficera dyżurnego. Mam jeszcze kilka minut w zapasie. Kładę więc plecak na chodniku i zaczynam chodzić w tę i z powrotem, żeby nie zmarznąć. Wypatruję szaroburej syreny Stefka. Czekam. Dłuży mi się niemiłosiernie. Aż gałki oczu bołą mnie od ciągłego

¹ SOR – Szkoła Oficerów Rezerwy w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu, której koszary zlokalizowane są w Poznaniu przy ulicy Wojska Polskiego.

² Świadectwo zdania egzaminu na oficera Ludowego Wojska Polskiego. Otrzymałem je po odbyciu sześciomiesięcznego szkolenia wojskowego w SOR.

wpatrywania się w zakręt ulicy, skąd Stefek przyjedzie. Jestem skostniały z zimna. Trudno, na pewno coś mu się zdarzyło po drodze. Na pewno coś z syreną.

– To ty tu jeszcze czekasz, Trawa? Brata jeszcze nie ma?

Czajkowski bardziej stwierdził, niż zapytał. Jest piętnasta, więc idzie do domu. Już jak dobry znajomy, nawet kolega, a nie dowódca, podaje mi rękę na pożegnanie.

– Dzisiaj to chyba wszystkim już tu oddałeś honory, co? Taki trening musztry na ochotnika na koniec szkoły?

Śmieje się i odchodzi.

Ma rację. Wszystkim trepom ze szkoły już odwalilem do dachu, gdy wychodzili z koszar po służbie. Jakby mi dali giwerę, to mógłbym tu im potyrać za wartownika. Mijają następne godziny. Zaczyna się zmierzchać. Chyba nie przyjedzie. Czekać jeszcze trochę czy już iść? Jest już całkiem ciemno. Idę więc na dworzec PKP. Pieszko jest daleko. Prawie przez całe miasto. A trzeba przyznać, że Poznań to duże miasto.

– Przepraszam panią, o której jest następny pociąg do Głogowa?

W kasie biletowej siedzi kobieta w granatowym fartuchu. Nie ma ruchu, więc dzierga sobie coś na drutach.

– W nocy będzie dopiero. Po pierwszej. Dać? Żołnierski?

Kobieta zza szyby krzyczy, jakby myślała, że jestem głuchy.

– Nie, bo mam z wojska na rozkaz przejazdu. Tylko dopłatę na pospieszny do Głogowa przez Leszno.

Też mówię tak samo głośno.

– Inaczej niż przez Leszno to do Głogowa nie idzie. Chyba, że masz czas, to tak...

Śmieje się, jakbym opowiedział jej dobry dowcip, albo raczej ona mi.

– A dopłacać do pospiesznego – klaruje mi jak chłop krowie na rowie – to nie potrzebujesz, bo masz rozkaz. A zresztą, wojak, kolejną to nasi żołnierze jeżdżą bez biletów... W pociągu nikt cię nigdy o bilet nie zaczepi...

Kimam na dworcu. Jeszcze tylko trzeba, żeby WSW³ mnie zwinęło, jak jakiegoś pijaka, gdy mnie najdą tu takiego wyciągniętego na ławce w poczekalni, niczym na wersalce w domu. W domu ląduję dopiero z samego rana. Mundur mam trochę pomięty. Ale Mamunia i tak pęka z zachwytu na mój widok. Faktycznie, wyglądam jak kolorowy ptak. W szkole, w SOR, zwykli żołnierze, ci ze służby zasadniczej, którzy na ogół byli kierowcami – mechanikami czołgów, nazywali nas bażantami, bo tacy jesteśmy poobszywani różnymi paskami i wstążkami na pagonach i rękawach.

– Pójdź tak do kościoła na pasterkę, dobrze?

Mamunia prosi mnie, a nie poleca. Jest rozczarowana, że nie przyjechałem wczoraj, tak jak miałem przyjechać. Wszyscy czekali na mnie z uroczystą kolacją. W końcu pierwszy oficer nie tylko w domu, ale w ogóle w całym Wrzosowie. Był nawet stary Miłaszewski, nasz sołtys. Kiedyś zobaczył mnie na wsi w mundurze,

³ WSW – Wojskowa Służba Wewnętrzna, coś w rodzaju policji wojskowej.

gdy przyjechałem na przepustkę. „Jak mi Bóg miły, urznę się u was, jak mi gwiazdki na pagonach pokazesz” – zapowiedział mi wówczas i dotrzymał słowa.

Po południu jadę do Stefka i Soni do Strumyka, małej wioski, w której mieszkają w pegeerowskim bloku.

– Dlaczego nie przyjechałeś po mnie?... – pytam go zaraz na wejściu.

Mówię z wyrzutem, ale nie jestem obrażony. Na Stefka nie potrafię być obrażony.

– Jak to nie przyjechałem? A gdzie miałem przyjechać?

Nie udaje, mówi całkiem poważnie.

– Jak to gdzie? Do Poznania, po mnie, zapomniałeś?

Przypominam mu nasze ustalenia. Zamyśla się, jakby rzeczywiście nic nie wiedział, że mi obiecał.

– No i masz, zapomniałem, na zabój zapomniałem...

Klepnął mnie delikatnie z liścia w plecy. Ma szeroki uśmiech, który może i coś wyraża, ale na pewno nie zakłopotanie czy skruchę.

– Tak, no i masz, no i zapomniał, no i masz, o Bożym świecie również...

Sonia nie jest tak radosna, jak jej ślubny.

– Oj tam, oj tam... Zaraz wielkie mi halo...

Stefek zbiera myśli. Oczy mruży przy tym tak, jakby mu porządną latarką prosto w źrenice waliło. Tylko na oko i węch widać i czuć, że od przedwczoraj nie jest jeszcze w szczytowej formie.

– Zabalowaliśmy nieco i, rozumiesz, po prostu nie mogłem.

Podszedł do mnie blisko, jakby chciał mnie objąć.

– Wybaczysz mi, co?

Znowu klepie mnie przyjaźnie po plecach, a następnie czocho ra mi lekko włosy. Robi tak zawsze, gdy chce mi pokazać, że jestem dla niego ważny, wyjątkowy, że jestem jego najlepszym bratem. Ja również jestem pewny, że on jest moim najlepszym bratem. Zawsze tak było.

Na mój telefon reaguje dokładnie tak samo jak ja, gdy Mamunia do mnie zadzwoniła. Od razu mówi, żebyśmy jechali natychmiast. Mało tego. Proponuje, żebyśmy jechali jego audi. Uzasadnia to:

– Będziemy szybciej i mniej się zmęczymy niż tym twoim polonezem.

Ale dla jasności dodaje:

– Dzisiaj pojedziemy moim, ale gdy trzeba będzie jechać na pogrzeb, to ja od razu mówię, że będę musiał się z kimś zabrać, bo audi w następnym tygodniu obiecałem już oddać Franiowi, rozumiesz...

Rozumiem, rozumiem, jak bym mógł tego nie rozumieć. Chociaż, co prawda, najpierw obiecałeś go mi, a dopiero później Frankowi i Donatce. Ale jasne, że rozumiem. Tylko głupi by tego nie pojął. Interes musi iść przodem. Bo przecież to Franek rychtuje ci merca, a nie ja. A i później będzie ci na

pewno często potrzebny, bo merc jest niby niczego, ale co by nie mówić, lata swoje to on już ma.

– Ale dzisiaj – dodaje Stefek – to możemy nim jeszcze pojechać, bo dzisiaj jeszcze jest mój. Musicie tylko przyjechać tu do mnie, do Baziowa.

Jesteśmy w drodze. Nadal pada, ale już nie tak mocno jak w Głogowie. Stefek prowadzi. Ja siedzę z przodu, a Irminka z tyłu. Mimo złej pogody jedziemy bardzo szybko. Rozmawiamy mało, nawet bardzo mało. Świat przesuwa mi się za oknami jak klatki filmu. Wyprzedzamy wszystkie samochody, jakie tylko pojawiają się przed nami. Jeszcze nigdy nie jechałem tak szybko takim samochodem w dłuższej trasie. Kawalek to tak. Też tym Stefkowym cudem...

Nasze mieszkanie w Głogowie. Jest lipiec 1992, około czwartej po południu...

– Wiesiu, otworzysz? Otwórz, co?

Dagnusia nawołuje mnie z łazienki.

Ktoś dobija się nerwowo do drzwi. Nie chce mi się ruszyć. Drzemię w fotelu. Lubię tak po pracy. Zjeść i zapomnieć o wszystkim.

– Zaraz, już... – odpowiadam głośno Dagnie i temu komuś za drzwiami.

Po chwili w judaszu widzę Stefka i jego dwie, już prawie całkiem dorosłe córki: Lucynkę i Hanię. Musiało zdarzyć się coś

ważnego, bo od kiedy już trochę wydorosłały, to nigdy z nim do nas nie przyjeżdżają.

– Kupiliśmy, wujku, kupiliśmy...

Obie szepczą jednocześnie, jeszcze w progu mieszkania. Są czymś bardzo przejęte i podekscytowane.

Co się stało, że tak tajemniczo?

– Co kupiliście?

Pytam niby je, ale patrzę na Stefka, który w tym czasie podszedł do okna w kuchni.

– Chodź, zobacz...

Twarz ma czerwoną jak pomidor.

Podchodzę do okna i stoję obok niego. Na parkingu przed blokiem, zaraz obok naszego fiacika, stoi białe audi model 80. Mówią na nie „beczka”.

Co to ma być? Jeszcze zaledwie przed tygodniem na giełdzie w Lubinie oglądaliśmy tylko same ruskie tawrie. A teraz to?

– Kupiłeś to? – pytam z niedowierzaniem.

– Kupiłem, okazynie...

Przepiękny, ciekawe, ile kosztował?

– Przejedziesz się?

Stefek pyta pro forma, bo bardzo dobrze zna odpowiedź. Nowymi samochodami zawsze przejeżdżamy się kawałek, żeby pokosztować. Schodzimy na dół. Cała klatka schodowa jest przepelniona radością. Słyszę już nie tylko zadowolone głosy Lucynki i Hani, ale także naszych chłopców, Tomaszka i Przemcia. Cieszą się, jakbyśmy to my kupili tę nową furę. Jedziemy na Henryków.

– *Ma przejechane zaledwie sto osiemdziesiąt tysięcy...*

W ustach Stefka brzmi to tak, jakby dotyczyło to kosmosu, czegoś nieosiągalnego i niezrozumiałego, szczególnie dla mnie.

– *Ile?*

W uszach dźwięczy mi to jego „zaledwie”. Moje wyobrażenie o tym jest też takie jak o kosmosie. Poprzedniego naszego fiacika sprzedaliśmy, gdy miał tylko nieco ponad sześćdziesiąt tysięcy, a był to już tylko rzech samochodu. A to auto wygląda jak nowe, a jedzie tak, że mowę odbiera.

– *Aż nie do wiary, że coś takiego mamy w naszej rodzinie...*

Na prostej przed Henrykowem, na krótkim odcinku zaledwie 2-3 kilometrów, mam już sto sześćdziesiąt na liczniku. I na dodatek nic nie czuć, że tak szybko jedziemy. Stefek kipi z radości. Widzi mój zachwyty. Za Henrykowem, gdzie położyli nowy asfalt, mam już dwieście dwadzieścia. Chłopcy patrzą na mnie z podziwem. Lucynka i Hania też patrzą. Tylko, że one inaczej. Z wyraźną obawą. Zerkają to na licznik, to na mnie. Widzę je w lusterku. Głowy i oczy chodzą im jak kibicom w trakcie meczu tenisa ziemnego. To na licznik, to na mnie, to znowu na licznik, to znowu na mnie. Ulga dla dziewczynek. Wracamy. Jesteśmy znowu na parkingu pod naszym blokiem.

– *Ale super masz. Gratuluję ci i szczęść ci Boże...*

Trzęsę ręką Stefka i ściskam go, jak to zawsze w naszej rodzinie, gdy okazujemy sobie, że cieszymy się szczęściem drugich.

– *Ale musiałeś za to zabulić... – dodaję z uznaniem i, nie do wiary, z szacunkiem.*

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

